

Marian Eckert

Moje biblioteki

Biblioteka 7 (16), 219-224

2003

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MOJE BIBLIOTEKI

Prawdziwym uniwersytetem naszych czasów jest biblioteka

T. Carlyle

Należę do generacji, dla której prawdziwym uniwersytetem była zawsze biblioteka. Moje „szkolne lata” to nielegalne komplety podczas hitlerowskiej okupacji i samokształcenie.

Nauczyłem się czytać sam, jako pięcioletnie dziecko. Pierwsze lektury to bajki Andersena. Prawdziwą książkę otrzymałem na Gwiazdkę 1938 roku. Były to *Przypadki Robinsona Crusoe* Daniela Defoe. O przygodach Robinsona i Piętaszka czytałem z wypiekami na policzkach, zupełnie nie czując, że moje młodsze kuzynki wycinają mi na głowie szeroką ścieżkę narzędziami z pudełka „Mały fryzjer”. Zafascynowanie książką pozostało na zawsze, wkrótce doszło do tego zauroczenie biblioteką.

Bywałem w życiu w wielu bibliotekach, także tych ogromnych w Waszyngtonie czy w Nowosybirsku. Ale dziesięć bibliotek przechowuję w pamięci ze szczególną wdzięcznością i czułością.

1

Zimą 1939 r. Niemcy wysiedlili moją mamę i mnie z Poznania do Generalnej Guberni. W Krakowie trafiłem do mojej pierwszej biblioteki. W dwóch małych pokoikach, na którejś z uliczek Salwatora mieścił się niewielki księgozbiór. Na półkach znalazłem powieści Karola Maya, którego bohaterowie stali się wkrótce moimi idolami. Chciałem być tak odważny i szlachetny jak Winnetou i tak silny jak Old Shaterhand. Wkrótce przeczytałem też *Serce Amicisa*, *Chatę wuja Toma* Beecher Stowe i *Pięcioksiąg przygód Sokolego Oka* Jamesa F. Coopera, a także *Podróże Guliwera* Jonathana Swifta, powieści Juliusza Verne’a i Karola Makuszyńskiego. Dziś jeszcze sięgam, i nie wstydę się tego, do kilku książek z czasów dziecięcych. *Lato leśnych ludzi* Marii Rodziewiczówny obudziło we mnie miłość do zwierząt i lasu, *Bezgrzeszne lata* Makuszyńskiego wzruszyły lirycznym humorem i pogodną pochwałą życia. *Miasto mojej Matki* Juliusza Kadena-Bandrowskiego uświadomiło mi czym są więzi i uczucia rodzinne.

2

Drugą „moją bibliotekę” znalazłem w klasztorze Bernardynów u stóp Wawelu. Biegająca każdego ranka do pracy matka zostawiała mnie tam pod opieką zaprzyjaźnionego z rodziną przeora ojca Romualda Gustawa. Klasztor był jednak miejscem konspiracyjnych spotkań organizacji podziemnych, dlatego przeor zamykał mnie w bibliotece, zapominając często o potrzebie wypuszczenia więźnia na obiad. Byłem jednak szczęśliwy, buszowałem bez opamiętania wśród ogromnych regałów szukając książek godnych przeczytania. Braciszkanie zakonni mieli niemal wszystko: traktaty religijne, *W puszczech Kanady* Władysława Umińskiego, ale także *Tartarina z Tarasconu* Alphonsa Daudeta i *Don Kichota* Miguela de Cervantesa, a nawet – o zgrozo – romanse Marczyńskiego. Tu znalazłem też dzieło, które do dziś towarzyszy mi wiernie i wciąż zaskakuje czymś niespodziewanym, broniąc się dzielnie przed przemądrzałymi krytykami i historykami – trylogię Henryka Sienkiewicza.

Niektóre książki chowałem pod koszulę i zabierałem do domu. Mieszkaaliśmy z Mamą w jednym pokoiku. Kiedy zmęczona pracą zasypiała, ja czytałem jeszcze pod kołdrą, świecąc sobie latarką, o przygodach bohaterów powieści Aleksandra Dumasa, Jacka Londona i Wiktora Hugo. Pod moim łóżkiem spał czarny królik Piotruś i żółw Leon, a w drucianej klatce kanarek Kuba.

Gdy skończyła się wojna wróciliśmy do Poznania. Mieszkanie zostało obrabowane, nie był nawet księżek mojego Ojca. Ojca też już nie było – zabrała go wojna. Pojechaliśmy do Gostynia, pod opiekę dziadka. Poszedłem do liceum nie mając za sobą ani jednej klasy szkoły podstawowej, i tylko tyle wiedzy ile wyniosłem z tajnych kompletów i bibliotek.

3

Biblioteka liceum nie zapadła mi w pamięć, może, dlatego że wiele lektur znajdowałem w księgozbiorniku mojego dziadka i moich ciotek. Odkryłem jednak w mieście bibliotekę Towarzystwa Kulturalnego „Fredreum”. Stąd pożyczałem *Salambo* Gustava Flauberta, *Kubusia Fatalistę* ... Denisa Diderota, opowiadania i humoreski Marka Twaine'a, piękną opowieść o miłości *Tristana i Izoldę* Josepha Bediera, a nawet *Sonatę kreutzerowską* Lwa Tołstoj, za którą dostałem od Matki w skórę. Dzięki łacinie odkryłem też Juliusza Cezara i Wergiliusza.

4

W 1950 roku po maturze i zaliczeniu pracy w „Służbie Polsce”, przyjechałem na studia do Poznania. Tu znalazłem nowe, znakomite warunki dla samokształcenia w Bibliotece Uniwersyteckiej na Ratajczaka, niedaleko od domu, w którym mieszkaliśmy przed wojną. Już sam wygląd czytelnicy: stare piękne regały, wygodne miejsca do pracy, możliwość wyszukiwania książek aż gdzieś pod sufitem, dzięki ganeczkowi, na który wiodły drewniane schody, sąsiedztwo zaczytanych asystentów i sylwetki profesorów przemykających do swojej, odrębnej czytelnicy – wszystko to stwarzało atmosferę uroczystego skupienia i zachęcało do przesiadywania tutaj aż do ostatniej godziny. Z natury rzeczy, lektury wiązały się wtedy z moimi studiami. Tu się czytało *Zmierzch cesarstwa rzymskiego* Edwarda Gibbona, *Pierwsze państwo słowiańskie. Państwo Samona* Gerarda Labudy, później *Richelieu*go Piwowarskiego, książki Szymona Askenazego o Napoleonie.

5

W 1952 r. podjąłem dorywczą pracę w Bibliotece Instytutu Historii w Collegium Philosophicum przy ulicy Matejki. Zajmowałem się uzupełnianiem katalogu i wypożyczaniem książek studentom. Wkrótce dobrałem się do księgozbioru dostępnego tylko profesorom. W wolnych chwilach czytałem teraz *Myśli nowoczesnego Polaka* i niektóre szkice z *Pism zbiorowych* Józefa Piłsudskiego. O ile zakazany *Niemcewicz od przodu i tyłu* Karola Zbyszewskiego bawił, o tyle inne, niedostępne „zwykłym” studentom dzieła zasiewały w głowie metodologiczne niepokoje. Biblioteka Instytutu pozostaje w mej pamięci miejscem, w którym wyostrzał się krytycyzm i rodziła chęć, aby stawiać pytania i nie zadowalać się łatwymi odpowiedziami.

6

Moje studia zostały przerwane w 1953 roku, otrzymałem nakaz pacy w charakterze nauczyciela wychowania fizycznego do Rzepina – małego miasteczka na zachodnim pograniczu kraju. Miałem już wtedy dość pokaźny, własny księgozbiór; w miejscowej księgarni kupowałem nowe książki. Przyszedł czas zauroczenia Balzakiem i Stendhałem. O ile Balzak ściągał mnie na ziemię, w świat interesów, intryg namiętności ludzkich, o tyle Stendhal przypominał, że istnieje

je też wielka miłość i każdy może – nawet w Rzepinie – znaleźć swoją „Pustelnię Parmeńską”. Stendhal miał rację. W klimacie tej pięknej powieści mieścił się film z niezapomnianym Gerardem Philipem w roli Fabrycego del Dongo. Wznawiane w tych latach powieści Romain Rollanda: *Duszę zaczarowaną* i *Jana Krzysztofa* mogłem już komuś ofiarować, sobie zostawiłem na zawsze *Colas Breugnon'a*.

Gdy rozpoczynałem pracę nad rozprawą doktorską trzeba było wziąć czasowy rozbrat z literaturą piękną. Kilkanaście własnych książek fachowych nie wystarczało. Musiałem nawiązać współpracę z Miejską Biblioteką Publiczną. W osobie Pani Zofii Gwozdeckiej znalazłem nieocenioną pomoc. Odważnie zaczęła rozwijać współpracę międzybiblioteczną z bibliotekami uniwersyteckimi w całym kraju. Do Rzepina płynęły paczki z książkami i – co dziwi mnie do dziś – nic za to nie płaciłem. Różne instytuty, także GUS, przysyłały statystyki, prace o lasach, przemyśle drzewnym, handlu drewnem itp. Moją bibliotekarkę, panią Zofię, wspominam serdecznie i z wdzięcznością.

7

Szczególne miejsce zajmuje w mojej pamięci Biblioteka KUL w Lublinie. Dyrektorem tej placówki, potem jej wieloletnim szefem, został mój przyjaciel z czasów okupacji, wybitny bibliofil ks. prof. Romuald Gustaw. W ciągu wielu powojennych lat uczynił on ze skromnej biblioteki jedną z najciekawszych księżnic w Polsce. Ostatnie dwadzieścia lat życia wypełniły mu podróże po świecie i ściąganie do Lublina darowizn, często unikalnych. Spotykaliśmy się zwykle raz do roku, w Lublinie lub w Rzepinie, gdzie Gustaw przyjechał wpierw, by udzielić ślubu mnie i wybrance mego serca, gdzie zatrzymał się na krótko wracając z zagranicy. W zamian jeździłem raz do roku do Lublina na „rekolekcje”, jak nazywała te wypadki moja żona. W bibliotece KUL-u czytałem niedostępne gdzie indziej książki, a w mieszkaniu Gustawa, mieszczącym się w bibliotece, odbywaliśmy długie dyskusje o łączących nas lub dzielących kwestiach metodologii historii. Bywało, że wychodziliśmy na ulice uśpionego już Lublina, aby kontynuować przyjacielskie spory, bywało że Gustaw zakładał na adapter przywiezioną z zachodu płytę i słuchaliśmy wspaniałej muzyki Bacha lub emigracyjnych, znakomitych chórów ukraińskich. Od lat nie ma już Gustawa, ale zostały na mojej półce dwa wielkie tomy jego *Hagiografii polskiej*.

8

Ważną placówką naukową stała się dla mnie w latach 60. Biblioteka Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie. A to głównie dzięki świetnym zbiorom literatury ekonomicznej, statystyk i czasopism gospodarczych. W pięknej czytelni, do której światło dociera także przez przeszklony sufit, pracowało się spokojnie i owocnie. Gdy nadchodziło znużenie można było zawsze zejść do sąsiedniego Archiwum Akt Nowych i poszperać w dokumentach dotyczących dwudziestolecia międzywojennego.

9

Nasza przeprowadzka do Zielonej Góry oznaczała zawarcie znajomości z dwiema placówkami, w pierw Biblioteką Główną Wyższej Szkoły Inżynierskiej, później także z Biblioteką Wyższej Szkoły Pedagogicznej. W obu bibliotekach, stanowiących dziś wspólną jednostkę – Bibliotekę Uniwersytetu Zielonogórskiego, znalazłem życzliwe, gotowe zawsze służyć pomocą i zamykające oczy na przetrzymywanie książek koleżanki. Darzę te urocze panie wielką sympatią, z wieloma jestem zaprzyjaźniony. Nie wszyscy czytelnicy wiedzą, że Biblioteka Uniwersytetu dysponuje niezmiernie ciekawymi zbiorami. Są to unikalne starodruki, mapy, regionalia, ale także czasopisma, nawet z dawnych czasów, pamiętniki, ikonografia. Widać jak na dłoni mądrą i dalekowszroczną politykę gromadzenia zbiorów, staranie o dostępność, nowoczesną informację. Ale także o to, by biblioteka była ważną, dynamiczną placówką naukową i kulturalną.

10

I wreszcie dziesiąta z moich bibliotek – Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida. Gdy o niej myślę przypominają mi się słowa Aime-Martina autora bodaj pierwszego pomysłu na nowoczesną bibliotekę: *Plan d'une bibliotheque universelle* Bruxelles 1837. Na stronie 16 owego dzieła Aime-Martin pisze:

Zapewne nie może być błędna myśl odrodzenia ludów przy pomocy książek, które ucywilizowały nas samych. Biblioteka powszechna jest próbą wykształcenia narodowego, której celem ostatecznym jest zbliżenie wszystkich klas społeczeństwa przy pomocy jednakowych zasad. Idzie o to, by przyzwyczajając umysły najpospo-

litsze do obrazów piękna i dobra, aby puścić w obieg wielką ilość myśli cywilizacyjnych, aby znieść wszędzie błąd przez obecność prawdy, a streszczając wszystko w jednym zdaniu, aby uczynić własnością całego narodu najbardziej wzniosłe myśli geniuszów.

Kilka lat temu prof. Jan Kurowicki ofiarował nam „Idealną bibliotekę” swój prywatny poradnik konesera. We wstępie zachęca nas do myślenia o świecie kultury, o człowieku, radzi zastanawiać się, przeżywać książki samodzielnie, na własny rachunek.

Obie propozycje są ważne, ta sprzed 165 lat widzi w bibliotece ośrodek wykształcenia narodowego, ta sprzed lat sześciu miejsce doskonalenia naszej indywidualnej kultury, wrażliwości, inteligencji.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida stara się realizować oba wyzwania. Jest nie tylko przechowalnią książek, wypożyczalnią świadczącą usługi, miejscem w którym szukamy informacji. Jest przede wszystkim ośrodkiem kultury, promieniującym na miasto, region i realizatorem idei swego Patrona, który w swych dziełach stawiał zawsze trzy ważne pytania: Kim jest człowiek? Jak najlepiej służyć Ojczyźnie? Jak dążyć do Prawdy?